

Wybory we Francji, wybór Europy

29 kwietnia 2012

Zabójstwo 7 osób przez dżihadystę przejściowo odwróciło uwagę francuskiej kampanii wyborczej od kluczowych spraw społeczno-gospodarczych, ale kilka tygodni po wyborach, które odbędą się 6 maja, nowy prezydent Francji weźmie udział w konferencji na szczycie G20. Tuż po objęciu urzędu będzie musiał zaakceptować, renegocjować lub odrzucić nowy traktat europejski, inspirowany przez prawicę niemiecką, który ma na celu zaostrezenie planów oszczędnościowych. Od tego wyboru będzie zależała orientacja gospodarcza i społeczna Francji – i nie tylko, bo dotyczy to również konstrukcji europejskiej.

Czy wybory we Francji sprawią, że zmieni się prezydent – i w istocie nic poza tym? Zmiana na tym urzędzie przyniosłaby Francuzkom i Francuzom ulgę, bo poza najbardziej notorycznymi zachowaniami ustępującego prezydenta – jego wszechobecnością, ekshibicjonizmem, umiejętnością bycia za, a nawet przeciw, fascynacją bogaczami, równie namiętną, jak skłonność do czynienia z bezrobotnych, imigrantów, muzułmanów czy pracowników sfery budżetowej kozłów ofiarnych – winnych tego wszystkiego złego, co się dzieje – ostatnie 5 lat przyniosły regres w sferze demokracji politycznej i suwerenności ludowej.

Po referendum w sprawie europejskiego traktatu konstytucyjnego, przeprowadzonym w maju 2005 r., w którym społeczeństwo francuskie traktat ten odrzuciło, kandydaci na lokatora Pałacu Elizejskiego z ramienia dwóch głównych partii politycznych reprezentowanych w parlamencie zignorowali sprzeciw wobec konstrukcji europejskiej, której wszystkie błędy koncepcyjne widać dziś jak na dłoni. Tymczasem wynik referendum był jednoznaczny i stanowił ukoronowanie debaty ogólnonarodowej, której jakość była dużo lepsza niż jakość obecnej kampanii wyborczej. Kadencja Nicolasa Sarkozy'ego na

urzędzie prezydenckim kończy się zdumiewającymi deklaracjami. Wszyscy kandydaci lewicowi piętnują banki, a tymczasem minister gospodarki François Baroin twierdzi, że „krytykować banki to taki idiotyzm, jak mówić: jestem przeciwny deszczowi, jestem przeciwny zimnu, jestem przeciwny mgłę”. Z kolei premier François Fillon radzi kandydatowi socjalistów, François Hollande’owi, aby „podał swój program wyborczy ocenie Standard & Poor’s” [1].

Podporządkowanie francuskich kół kierowniczych „demokracji zgodnej z rynkiem”, której hołduje coraz bardziej arogancka prawica niemiecka, powoduje również erozję suwerenności ludowej. Pozbycie się tej hipoteki to sprawa kluczowa i tego, o co naprawdę chodzi w debacie europejskiej, nie można owijać w bawełnę. Wszyscy wiedzą, że zawzięcie realizowane od dwóch lat plany oszczędnościowe nie rozwiązały ani nie rozwiążą problemów zadłużenia, którym rzekomo miały zaradzić. Strategia lewicowa, która nie kwestionowałaby ich, byłaby z góry skazana na fiasko. Tymczasem w Europie atmosfera polityczna jest taka, że nie można sobie tego wyobrazić bez ciężkich bojów.

W chwili obecnej do ogólnego zawału krwotocznego nie dochodzi tylko dlatego, że instytucja drukująca banknoty zalewa banki tanim pieniądzem po to, aby te mogły drożej pożyczać je państwom. Ta chwila wytchnienia nie zależy jednak od dobrej woli Europejskiego Banku Centralnego, pełną parą korzystającego z „niezależności” nieostroźnie przyznanej mu w traktatach europejskich. Na dłuższą metę większość państw członkowskich Unii Europejskiej podporządkowała się niemieckiemu żądaniu, posłusznie popartemu przez władze francuskie, zaostrożenia polityki zaciskania pasa i poddania tych, którzy ewentualnie ośmieliliby się wyłamać, drakońskim sankcjom przewidzianym w Traktacie o stabilności, koordynacji i zarządzaniu w unii gospodarczej i walutowej, który podlega obecnie ratyfikacji.

Najpierw ukarano Grecję, a teraz grozi to Hiszpanii, której kazano zmniejszyć deficyt budżetowy o 1/3, choć stopa

bezrobocia osiągnęła tam już 22,8%. W następnej kolejności grozi to również Portugalii, która musi radykalnie zmniejszyć swoje wydatki publiczne, choć stopa procentowa pożyczek zaciągniętych przez to państwo poszybowała osiągając w marcu br. 14% i choć kraj pogrąża się w recesji gospodarczej (–3% wzrostu w 2011 r.). Przykręcenie śruby budżetowej krajom ogarniętym masowym bezrobociem to nic nowego – taki właśnie lek społeczno-gospodarczy władze przepisały Francji w latach 30.... Socjaliści wyjaśniali wówczas: „Deflacja zaostrza kryzys, zmniejsza produkcję i obniża wpływy z podatków” [2].

POLITYKA LEWICOWA W RAMACH TRAKTATÓW EUROPEJSKICH?

Głupota obecnej polityki może jednak zdumiewać tylko tych, którzy ciągle wyobrażają sobie, że ma ona służyć interesowi ogólnemu, a nie oligarchii finansowej kurczowo trzymającej się steru władzy. Jeśli finanse mają oblicze, to jest to właśnie oblicze finansjery [3]. Nazwanie tego wroga po imieniu pozwoliłoby lepiej mobilizować do walki z nim.

W przypadku zmiany u steru władzy absolutnym priorytetem nowego prezydenta powinno być zakwestionowanie Traktatu o stabilności, koordynacji i zarządzaniu i wszelkiej innej polityki zaciskania pasa. Od tego, czy tak postąpi, czy nie, będzie zależało wszystko inne: edukacja, usługi publiczne, sprawiedliwość fiskalna, zatrudnienie. Kandydat socjalistów chciałby oddzielić mechanizm solidarności europejskiej, którego broni, od neoliberalnej terapii wstrząsowej, którą kontestuje. Zobowiązuje się „renegocjować” wspomniany traktat, bo ma nadzieję, że uda się dodać do niego zapisy o wzroście gospodarczym i zatrudnieniu opartym na projektach przemysłowych w skali kontynentalnej.

„W ramach tych traktatów niemożliwa jest jakakolwiek polityka lewicowa”, uważa natomiast Jean-Luc Mélenchon. Kandydat Frontu Lewicowego całkiem logicznie przeciwstawia się traktatowi, podobnie jak Europejskiemu Mechanizmowi Stabilności, przewidującemu pomoc finansową dla tych państw, które

wcześniej zgodziły się zastosować drakońskie środki, aby przywrócić równowagę budżetową. Kandydatka ekologów i kandydaci trockistowscy również prowadzą kampanie na rzecz „europejskiego audytu długów publicznych”, a nawet domagają się, aby uznać je za długi bezprawne, bo obniżki podatków, dokonane w ciągu minionych 20 lat i procenty wypłacone wierzycielom wyjaśniają, skąd długi te się wzięły.

Większość państw europejskich z Niemcami na czele przeciwstawia się renegocjacji traktatów i niczego takiego sobie nie wyobraża – nie wyobraża sobie także pożyczania poważnych sum państwom przeżywającym trudności finansowe, jeśli nie dadzą one dowodów „dobrego” zarządzania. To znaczy – jeśli nie zaakceptują nowych prywatyzacji, a jednocześnie nie zdemontują całych dziedzin zabezpieczeń społecznych (emerytur, zasiłków dla bezrobotnych, płacy minimalnej itd.). „Europejczycy nie są tak bogaci, aby mogli płacić tym wszystkim, którzy nie pracują”, stwierdził 24 lutego br., w wywiadzie dla Wall Street Journal, Mario Draghi, prezes Europejskiego Banku Centralnego. Ten były wiceprezes Goldman Sachs dodał, że „dobre” plany oszczędnościowe wymagają jednocześnie obniżki podatków (czego nie proponuje żaden z francuskich kandydatów – nawet Sarkozy...) i wydatków publicznych.

Krótko mówiąc, lewicowy prezydent Francji szybko zderzyłby się z opozycją rządów państw członkowskich Unii, które w zdecydowanej większości są konserwatywne, oraz Europejskiego Banku Centralnego, przy czym nie należy zapominać również o Komisji Europejskiej pod przewodnictwem José Manuela Barroso. To dlatego – z rozmysłem – premierzy Wielkiej Brytanii, Polski i Włoch, podobnie jak niemiecka kanclerz, odmówili przyjęcia faworyta francuskiej sondaży, który mniej przypada im do gustu niż obecny prezydent.

„Z pewnością nie jesteśmy zwolennikami renegocjacji”, oświadczył już holenderski minister finansów Jan Kees de Jager. „Jeśli natomiast Hollande zechce przeprowadzić więcej

reform, czy to polegających na liberalizacji usług publicznych, czy na zreformowaniu rynku pracy, to staniemy u jego boku” [4]. Jak więc widać, każdy lewicowy prezydent Francji będzie cieszył się poparciem władz holenderskich, jeśli będzie prowadził jeszcze bardziej neoliberalną politykę niż Sarkozy...

Angela Merkel wcale nie kryje się ze swoimi sympatiami: zadeklarowała, że jest gotowa uczestniczyć w wiecach wyborczych prawicy francuskiej. Niemieccy socjaldemokraci nie pałają takim entuzjazmem do swoich francuskich towarzyszy. Przewodniczący Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), Sigmar Gabriel, zadeklarował solidarność z Hollande’em, ale inny przywódca tej samej partii, Peer Steinbrück, który ma nadzieję zostać za 18 miesięcy kanclerzem, uznał zobowiązanie Hollande’a do „renegocjowania po raz kolejny tych wszystkich porozumień” europejskich za „naiwne”. Przepowiada on, że francuski kandydat wykręci kota ogonem: „Jeśli zostanie wybrany, jego polityka może różnić się konkretnie od tego, co mówił” [5].

OBIETNICE BEZ POKRYCIA

Nie można wykluczyć, że rzeczywiście tak się stanie. Już w 1997 r. socjaliści francuscy obiecywali, że jeśli wygrają wybory parlamentarne, to będą renegocjować europejski pakt stabilności podpisany w Amsterdamie, który ich ówczesny przywódca, Lionel Jospin, uznał za „absurdalne ustępstwo wobec rządu niemieckiego”. Gdy lewica francuska powróciła do władzy, jedyne co uzyskała to dopisanie do nazwy paktu stabilności słówek „i wzrostu”.

W 2003 r. Pierre Moscovici, obecny kierownik kampanii wyborczej Hollande’a, skomentował ten piruet semantyczny. Gdy czyta się dziś jego komentarz, od razu przychodzi na myśl sytuacja, która może powstać we Francji po majowych wyborach. „Traktat amsterdamski wynegocjowano – bardzo kiepsko – zanim przejęliśmy ster władzy. Miał on liczne wady, a przede

wszystkim jego treść społeczna była bardzo niezadowolająca. (...) Nowy rząd miał legitymację, która pozwalała mu go nie zaakceptować (...) lub co najmniej zażądać wznowienia negocjacji. W końcu nie zdecydowaliśmy się na to [Moscovici był wówczas ministrem spraw europejskich], bo mając Jacques Chiraca w Pałacu Elizejskim borykaliśmy się z groźbą potrójnego kryzysu. Kryzysu w stosunkach francusko-niemieckich, ponieważ nasz odwrót od razu skomplikowałby nasze stosunki z tym podstawowym partnerem. (...) Kryzysu w stosunkach z rynkami finansowymi, których operatorzy życzyli sobie przyjęcia tego traktatu. (...) A wreszcie kryzysu kohabitacji z Chirakiem. (...) Lionel Jospin słusznie wybrał zmianę terenu, starając się z jednej strony o elastyczny odwrót, a z drugiej o wyjście obronną ręką, tzn. za cenę wyrażenia zgody na Traktat Amsterdamski, o pierwszą uchwałę Rady Europejskiej poświęconą wzrostowi gospodarczemu i zatrudnieniu” [6].

W przypadku zwycięstwa lewicy, najpierw w wyborach prezydenckich, a następnie w wyborach parlamentarnych, w maju-czerwcu br., sytuacja różniłaby się od ówczesnej pod dwoma względami. Z jednej strony, francuska władza wykonawcza nie byłaby podzielona tak, jak przed 15 laty, a z drugiej strony równowaga polityczna Europy, która wówczas skłaniała się ku centrolewicy, teraz przechyla się silnie w stronę prawicy. Z tym jednak, że nawet tak konserwatywny rząd, jak rząd hiszpański Mariano Rajoya, zaniepokojony jest terapią wstrząsową, którą wymusiły na nim władze niemieckie. 2 marca br. ogłosił on swoją „suwerenną decyzję” – oświadczył, że nie zgodzi się na europejski budżetowy kaftan bezpieczeństwa.

Niemal jednocześnie rządy tuzina innych państw, w tym Włoch, Wielkiej Brytanii i Polski, zażądały reorientacji polityki gospodarczej przeforsowanej przez tandem niemiecko-francuski. Hollande’a powinno to ucieszyć. Ma on bowiem nadzieję, że jego ewentualne zwycięstwo wstrząśnie europejskimi układami sił i że w rezultacie nie będzie zmuszony podejmować próby sił – czym wyraźnie się brzydzi – z wieloma rządami europejskimi,

Europejskim Bankiem Centralnym i Komisją Europejską na raz.

Sęk w tym, że reorientacja postulowana przez rządy prawicowe wspomnianych państw nie ma nic wspólnego z tym, co on sam postuluje. Dla nich „wzrost” oznacza thatcherowską politykę podażową (obniżka podatków, deregulacja społeczna i ekologiczna), a dla niego – garść inwestycji publicznych (edukacja, badania, infrastruktura). Zamieszanie na tym polu nie będzie trwało w nieskończoność. Bardzo szybko trzeba będzie przewidzieć „nieposłuszeństwo europejskie”, które zalecają Mélenchon i inne siły lewicowe, albo beznadziejnie kontynuować politykę Sarkozy’ego.

Niezależnie od tego, co różni Sarkozy’ego i Hollande’a – np. w dziedzinie sprawiedliwości fiskalnej – obaj popierali te same traktaty europejskie – od traktatu z Maastricht do traktatu lizbońskiego. Obaj poparli drakońskie redukcje deficytów publicznych (do 3% PKB w 2013 r., do 0% w 2016 lub 2017 r.). Są zwolennikami identycznych kursów w polityce zagranicznej i obronnej, odkąd nawet socjaliści francuscy nie kwestionują powrotu Francji na łono struktur wojskowych NATO, który nastąpił w 2009 r.

Tymczasem najwyższy już czas zerwać z tym wszystkim. Warunkiem jest zmiana prezydenta, ale ani historia rządów lewicy francuskiej, ani przebieg obecnej kampanii wyborczej wcale nie świadczą o tym, aby zmiana ta miała wystarczyć do takiego zerwania.

Autor: Serge Halimi

Tłumaczenie: Zbigniew M. Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

[1] RTL, 22 stycznia 2012 r. i Le Journal du Dimanche, 15 stycznia 2012 r.

[2] Preambuła projektu ustawy budżetowej na 1933 r.,

zgłoszonego przez klub poselski socjalistów w Zgromadzeniu Narodowym Francji.

[3] Zob. dossier „Le gouvernement des banques”, Le Monde diplomatique, czerwiec 2010 r.

[4] Le Monde, 1 marca 2012 r.

[5] AFP, 15 lutego 2012 r.

[6] P. Moscovici, Un an après, Paryż, Grasset 2003, s. 90-91.